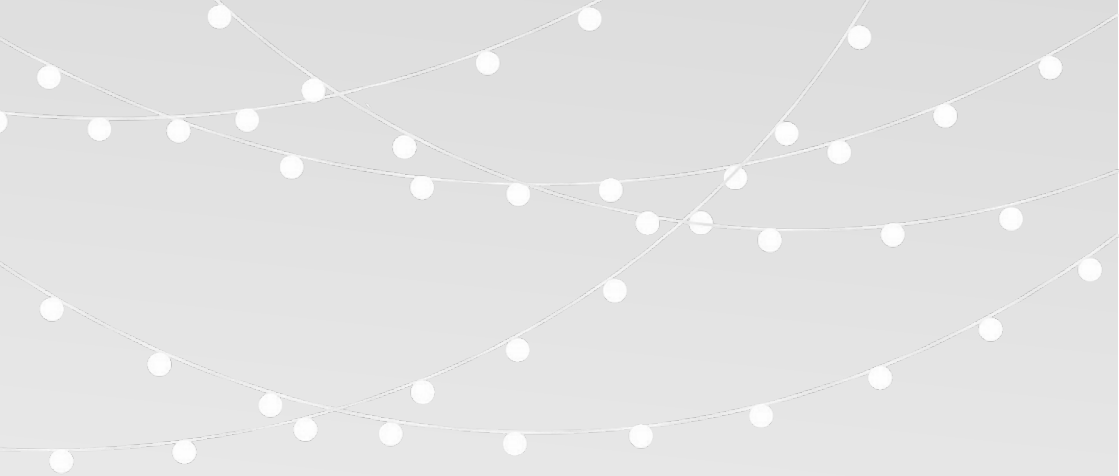


Monika Malita-Bekier
Natalia Waszak-Jurgiel

Gra warta
świecznika





Monika Malita-Bekier
Natalia Waszak-Jurgiel



Gra warta świecznika

© Monika Malita-Bekier, Natalia Waszak-Jurgiel, 2025

© Wydawnictwo Od Siedmiu Boleści, 2025

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Redakcja: Ewa Hoffmann-Skibińska

Korekta: Monika Malita-Bekier

Okładka: Katarzyna Zawalich

Projekt i skład: Kachna Kraśnianka

ISBN: 978-83-975933-4-3

Wydanie I

Wydawnictwo Od Siedmiu Boleści

Dobra, 2025

✉ wydawnictwo@od7bolesci.pl

📷 [instagram.com/pisarki.od.7.bolesci](https://www.instagram.com/pisarki.od.7.bolesci)

📷 [instagram.com/mmbekier](https://www.instagram.com/mmbekier)

📷 [instagram.com/podpisano_waszakjurgiel](https://www.instagram.com/podpisano_waszakjurgiel)

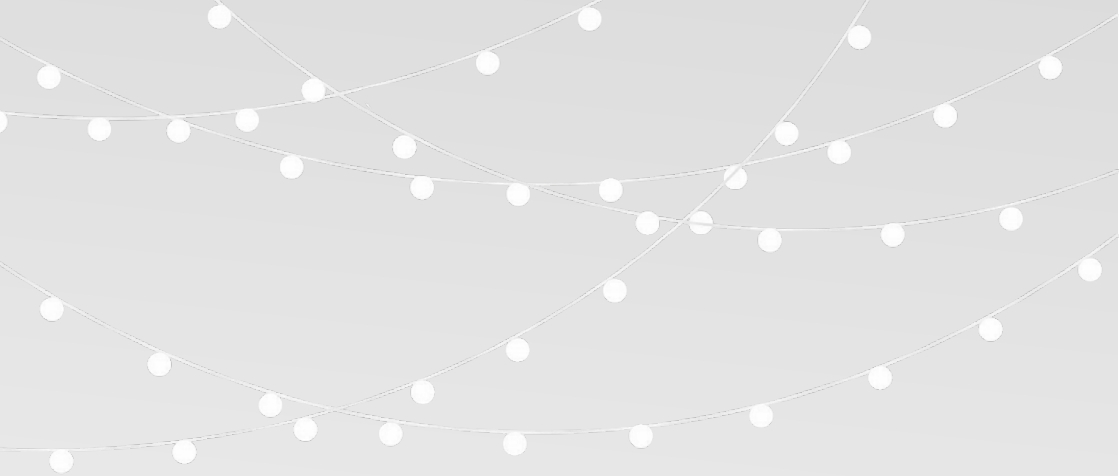
🌐 od7bolesci.pl

Wyrażamy zgodę na udostępnianie zdjęcia okładki książki w internecie.

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń i postaci jest przypadkowe.

S P I S T R E Ś C I

PRZEDMOWA	9
LÓDOWE CZEKOLADKI RATUNKOWE	11
KIEDY PRUSKA CZAR	51
NIE KOŃCZMY TĘDŁO JESZCZE	75
NADZIEJA MATKĄ GŁUPICH	97
ZOSTAW, ODEJDŹ, NIE PRZESTAWAJ, WRÓĆ	121
MOŻE JEDNAK JEST DLA NAS NADZIEJA	159
TO MOGŁOBY BYĆ NASZE „CODZIENNIŁE”	191
I WTEDY ZNÓW ATAKUJE ŻYCIE	211
ZALATWIMY TŁ RAZ NA ZAWSZE	239
DECYZJA NALĘŻY DO CIEBIE	257
EPILOŁ	285





Tobie, Najdroższy



PRZEDMOWA

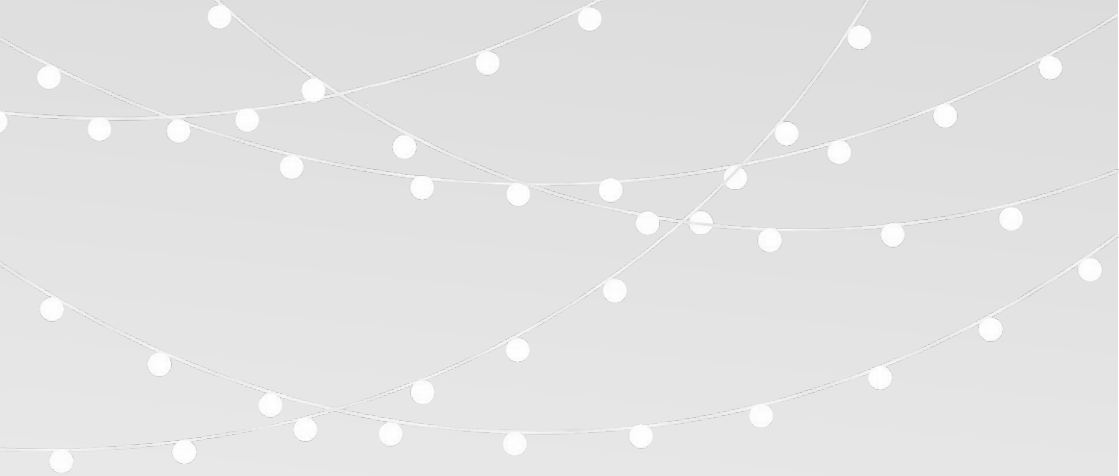
Wierzyacie w miłość od pierwszego wejrzenia?
W istnienie bratnich dusz?

W to, że można w pierwszej godzinie znajomości poczuć to coś?

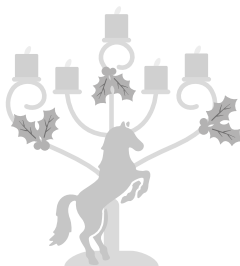
My piszemy takie historie, i to nie tylko dlatego, że wierzymy albo mamy bujną wyobraźnię.

Piszemy te słowa latem, chwilę po pierwszej rocznicy naszej znajomości, która rozpoczęła się tak jak znajomości bohaterów większości naszych wspólnych historii – przypadkowo, i szybko przerodziła się w coś więcej. Gdyby nie to, że jesteśmy szczęśliwymi małżonkami, to pewnie byłybyśmy już po słowie ;) Dlatego my wierzymy w nasze historie.

Przed Wami pierwsza wspólnie napisana przez nas powieść (choć nie pierwsza wspólnie wydana). Uwiercie razem z nami. Tym bardziej że to historia świąteczna, a w święta przecież dzieje się magia...



LÓDOWE CZOKOLADKI RATUNKOWE



Thought I was done for thought that love had died

But you came along; I swear you saved my life

(...)

I never thought I'd find a love like this

But I found forever in that very first kiss.

You Make It Feel Like Christmas, Gwen Stefani & Blake Shelton





BŁAŻEJ

Wyskakuję z budynku na chodnik w takim tempie, jak by mi się dupa paliła i mogła mnie uratować tylko śnieżna zaspą. Nie mogłem wytrzymać tam ani minuty dłużej. Mam wrażenie, że ludzie przed świętami wariują. Obwiązani kolorowymi światełkami i wyperfumowani przyprawami korzennymi uwalniają najgorszą wersję siebie. I na to wszystko zawsze jest to samo usprawiedliwienie: gorący przedświąteczny okres, trzeba zacisnąć zęby.

Bruksizmu dostanę od tego zaciskania zębów... Odruchowo sięgam do prawej kieszeni płaszcza, ale natykam się tylko na zużyta chusteczkę higieniczną. Wzdycham ciężko, a z moich ust w mroźne grudniowe powietrze wystrzeliwuje biała chmurka, która jedynie wzmacnia ochotę na papierosa. Z utęsknieniem spoglądam na drugą stronę ulicy, gdzie wisi zielony szyld sklepu z płazem. Mam wrażenie, że żaba mruga do mnie i skinieniem głowy zachęca do odwiedzin.

Przypominam sobie ten rytuał, który mógłbym odtworzyć nawet wybudzony z głębokiego snu. Wychodzę z pracy, wyciągam papierosa, odpalam go zapalką, bo zapalniczki nigdy nie używam, zaciągam się, ile sił w płucach, powoli wypuszczam z ust szary kłęb dymu i dopiero wtedy ruszam przed siebie. Wypalam całą fajkę akurat, gdy dochodzę do auta. Lekko uspokajam



się na samo wspomnienie. Nie po to nie palę już trzy tygodnie, żeby teraz się złamać.

Muszę wymyślić coś innego. Na pewno nie mogę w tym stanie wrócić do domu, bo jeszcze po drodze kogoś rozjadę. Do głowy przychodzi mi pewien pomysł, więc staram się wprowadzić go w życie, odsuwając dzięki temu myśli od uzależnienia. Dopiero teraz czuję chłód, który jeszcze przed chwilą nie robił na mnie wrażenia. Stawiam kołnierz płaszcza, okręcam szalik wokół szyi i kieruję się do Galaxy. Żeby mnie tylko tłum nie rozdeptał... Kupię i szybko wychodzę!



OLIWIA

Kocham grudzień. Wszechobecne świąteczne ozdoby wprowadzają wyjątkowo magiczną atmosferę. W tym okresie czuję się jak w bajce. Zwłaszcza gdy pogoda jest iście zimowa. Dokładnie tak jak teraz.

Gdy wysiadam z tramwaju, wciągam nosem mroźne powietrze. Poprawiam szalik i czapkę, a na dłonie wsuwam rękawiczki. Jeszcze tylko trochę i wieczór spędzę tak, jak lubię najbardziej – zaszyta pod kocem, z książką i ulubioną herbatą.

Teraz nawet ludzie wydają mi się bardziej życzliwi niż zwykle. Zazwyczaj nie łązę po zatłoczonych centrach handlowych, ale sezon przedświąteczny to zupełnie co innego. Z uśmiechem na



ustach wchodzę do Galaxy i rozglądam się po niezwykle przystrojonych sklepowych witrynach.

No tak... muszę w końcu kupić prezenty – myślę sobie.

Ale jeszcze nie dziś. Zajmę się tym później. Podśpiewując cicho razem z George'em Michael'em słowa mojej ulubionej świątecznej piosenki, którą słyszę dziś już czwarty raz, ruszam na piętro.

Czuję, że nic nie jest w stanie zepsuć tego dnia. W pracy nareszcie układa się tak, jak powinno. To znaczy, odkąd ją zmieniłam. Wcześniej było... ach, szkoda gadać. Dziś zostałam doceniona przez szefostwo i dostałam niemałą premię. A przecież pracuję tam dopiero od dwóch miesięcy! I umówiłam się z dziewczynami do teatru. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz obejrzałam spektakl. I jeszcze te zajęcia latino, z których właśnie wracam...

Cieszę się, że nowe koleżanki namówiły mnie, żebym się z nimi wybrała. Taniec jest niezwykły. Wyzwała niesamowitą energię i tak pozytywnie nastraja. Aż mam ochotę tańczyć na środku ruchomych schodów, którymi zmierzam na górę.

– *Last Christmas, I gave you my heart...*¹ – podśpiewuję sobie dalej, aż jakaś stojąca przede mną kobieta odwraca się w moją stronę z uśmiechem.

Dojeżdżam na piętro. Jeszcze tylko szybkie zakupy i lecę do domu.

¹ Wham, *Last Christmas*, z albumu *Music from the Edge of Heaven*, USA 1984.



BLAŻEJ

Odwiedzający centrum handlowe przed świętami dzielą się na zamożnych, zirytowanych koniecznością załatwienia zakupów oraz wesołych ubogich, którzy przyszli pooglądać, zrobić tłok i ewentualnie zwiększyć debet na koncie. Wśród nich znajdzie się zawsze kilku takich nieszczęśników z przypadku jak ja. Przeciskam się więc w tłumie tej mieszanki po to, by stanąć w kolejce do ruchomych schodów. Niezmiennie irytuje mnie fakt, że ludzie na nich stoją, zamiast iść, by było szybciej. Przecież to nie winda! Na szczęście nie trwa to długo, bo jadę tylko na pierwsze piętro.

Zbliżam się do hipermarketu z duszą na ramieniu. W ubiegłym roku przed samymi świętami zmienili plan sklepu, co skończyło się dla mnie dwudziestominutowym poszukiwaniem regału z kawą. Przystaję przed samymi bramkami, przysmykam na moment oczy i wysyłam modlitwę do wszechświata, by oszczędził mi powtórki z rozrywki. Trwa to ułamek sekundy, bo wpada na mnie jakiś zirytowany emeryt i warczy, że stoję w przejściu. Ignoruję go. Biorę głęboki wdech i wkraczam.

Nie chodzi o to, że nie lubię świąt. Ja chyba po prostu nie lubię ludzi, a tutaj jest ich tak dużo... Napychają koszyki czymkolwiek, co przecenione, robią zapasy papieru toaletowego, masła i majonezu, powodując przy tym tyle niepotrzebnego hałasu.



Mariah Carey miała nam umilić ten czas, ale próbuje jedynie ich przekrzyczeć ze sklepowych głośników. Jest nieznośnie.

Dostaję w udo wózek wypchany samymi słodkami i słonymi przekąskami, po czym ogarnia mnie panika. A jeśli ci barbarzyńcy wykupili moje czekoladki?! Przecież ja ich potrzebuję! Tak bardzo ich potrzebuję! Inaczej na pewno skończę ten dzień z papierosem w ustach...

Plan sklepu na szczęście się nie zmienił, więc przyspieszam kroku. Tylko lodowe czekoladki mogą mnie dziś uratować. Kupię je i wracam do mieszkania. Do cichego, pustego mieszkania...



OLIWIA

Gdy wchodzę do hipermarketu, w głośnikach leci mój drugi ulubiony świąteczny utwór. Mam ochotę wyciec razem z Mariah. Co z tego, że tę piosenkę też już dzisiaj słyszałam? I wczoraj, i przedwczoraj także. To przecież tylko ten jeden jedyny okres w całym roku, kiedy świat wariuje na punkcie świątełek, przepięknych ozdób świątecznych, wałkowanych w kółko tych samych melodii, zapachu goździków i pomarańczy czy Kevina. Ma to swój urok i nikt nie przekona mnie, że jest inaczej.

Chwytam plastikowy koszyk i uśmiecham się do pana obok, który jednocześnie sięga po swój. Wyciągam telefon i wyszukuję stworzoną w pracy listę zakupów. Kieruję się do alejki



z herbatami i wybieram tę korzenną. Potem odszukuję kolejne punkty z listy: przyprawę do piernika, goździki, kakao, mąkę, pieczywo, grzane wino, mandarynki. Zajmuje mi trochę czasu, zanim produkty lądują w koszyku, ponieważ dziś panuje wyjątkowy tłok. Nic dziwnego, święta coraz bliżej.

Zatrzymuję się przy świątecznych ozdobach. Co roku mam ich całkiem dużo w mieszkaniu. Sporo z nich i tak niszczy mi kot... Poza tym przecież... pooglądać mogę. Odnoszę wrażenie, że z każdym kolejnym nadejściem okresu bożonarodzeniowego w sklepach pojawia się jeszcze więcej coraz to ładniejszych i bardziej wymyślnych dekoracji. Mój wzrok przykuwa nagle piękny świecznik z koźmi, które uwielbiam. Obracam go przez chwilę w dłoniach i przyglądam mu się uważnie. Decyzja zapadła. Muszę go mieć.

Nie jest zbyt tani, ale to nieważne. Dostałam dziś premię, a ten zakup będzie idealnym sposobem, by to uczcić. Powoli zamierzam kierować się do kasy, gdy nagle uświadamiam sobie, że zapomniałam o najważniejszym! Jak mogło mi to wylecieć z głowy...? Niemal biegnę w stronę działu ze słodyczami, modląc się, by lodowe czekoladki znajdowały się na półce. Spieszę się, bo nie mogę pozwolić, by ktoś mi je sprzątnął sprzed nosa. Przecież to moja najważniejsza grudniowa tradycja...





BŁAŻEJ

Udaje mi się przedrzeć przez hałaśliwy, rozbiegany w różnych kierunkach tłum świątecznych maniaków i docieram do alejki, która mnie interesuje. Jak dla mnie mogłyby tutaj leżeć tylko czekoladki lodowe, przynajmniej byłoby je łatwiej znaleźć. Nie wiem, po co truć ludzi tymi czekoladopodobnymi produktami, które jedynie obtłuszczają przelyk, pozostawiając w ustach palącą potrzebę popicia lub zagryzienia tego czymś normalnym.

Czekoladki lodowe są przepyszne. Spełniają kryteria, dzięki którym zasługują na wszelkie adekwatne dla świętowania określenia: słodycz, deser, frykas, cymes, łakocie i, moje ulubione, rarytas. Poprawiają nastrój, pomagają rzucić palenie, leczą z apatii i marazmu, pasują do kawy i są dostępne cenowo dla każdego. Chociaż z tym ostatnim zaczynam mieć problem, bo nie mogę ich znaleźć. Obawiam się najgorszego...

Krażę wzdłuż alejki w tę i z powrotem. Szukam na górze i na dole. Gdyby leżały na górze, to człowiek średniego wzrostu nie zauważyłby, że jeszcze są gdzieś z tyłu. Moje metr osiemdziesiąt dziewięć pozwala mi spenetrować każdą wysoką półkę, ale nigdzie ich nie widzę. Wchodzę w alejkę po lewej stronie, ale tam są same chipsy. Po prawej z kolei napoje. Muszą być tutaj! Wracam pomiędzy słodkie regały i ponownie skanuję je wzrokiem.



Tym razem niemal czołgam się między wózkami i obcymi nogami, by przejrzeć dokładnie dolne półki. Nie ma. Wzdycham zrezygnowany. W mojej głowie pojawia się nieproszony obraz dymu papierosowego, który wypuszczam z ust w mroźne powietrze, spoglądając na miasto z balkonu swojego mieszkania. Potrząsam głową i znowu próbuję. Po chwili uśmiewam się sam do siebie. Są. Ostatnie opakowanie śmieje się do mnie ukryte w połowie za kartonem z wafelkami.



OLIWIA

Wpadam zdyszana do alejki ze słodyczami i rozglądam się na boki, próbując zlokalizować czekoladki i modląc się w duchu, bym je tu znalazła. Muszę mieć je przecież dzisiaj. Nie uśmiewa mi się krążyć po mieście, by szukać ich gdzieś indziej.

Spokojnie, tylko spokojnie. Na pewno gdzieś tu są – powtarzam w głowie. Niewiele widzę, bo kręci się naprawdę sporo osób. Jeszcze jakiś wysoki facet stoi na środku i zasłania widok.

Podchodzę bliżej regału i ze spokojem idę wzdłuż, oglądając kolejno słodkości. Mam ogromną nadzieję, że tych konkretnych nikt nie umieścił na samej górze. To byłoby barbarzyństwo i kompletna egoistyczna bezmyślność. Czy ktoś w ogóle myśli o niskich osobach? Jak niby mamy osiągnąć czegoś, co znajduje się poza zasięgiem wyciągniętej ręki czy tym bardziej



wzroku?! A jeśli w dodatku interesujący nas obiekt leży gdzieś z tyłu, to już w ogóle można sobie pomarzyć...

Może nie jestem jakimś liliputem, ale to wyżsi ludzie mają w tym zakresie ogromną przewagę. Nieustannie ogarnia mnie stres, gdy odbierając przesyłkę z paczkomatu, zastanawiam się, czy jakiś wspaniałomyślny kurier nie wrzucił jej na tył najwyższej skrytki. Moje obawy nie są bezpodstawne. Kiedyś tego doświadczyłam. Czekałam kwadrans, stojąc w ulewie, aż pojawi się ktoś wysoki i wyjmie moją paczkę, która, niczym Fiona ze *Shreka*, znajdowała się w najwyższej komnacie, w najwyższej wieży...

Zmarzłam wtedy tak, że się rozchorowałam. Od tamtej pory staram się nie odbierać niczego z automatu, gdy pada deszcz.

Dostrzegam bezpośrednio przed sobą moje ulubione wafelki, których bardzo dawno nie jadłam. Biorę dwie sztuki i wkładam do koszyka, który zaczął mi już ciążyć. Odkładałam go na posadzkę i w momencie, gdy się schylam, zauważam je! Są! Tuż obok. Schowały się za kartonem. Ależ mam szczęście, nawet nie musiałam długo szukać. Sięgam po nie zadowolona...



DELAŻEJ

Zaciskam palce na foliowym rożku. Delikatnie, by nie zmiażdżyć czekoladek, lecz stanowczo, by podkreślić wszem i wobec, że mają już nowego właściciela. W momencie gdy moja dłoń



zamyka się na zdobyczy, zauważam, że folię nad zamknięciem z determinacją ściska inna dłoń. Śmiesznie mała dłoń. Klnę w myślach. Naprawdę nie mogli wrzucić tych czekoladek na górną półkę? Teraz będę musiał się o nie bić z jakimś bachorem.

Nie puszczając jedynej rzeczy, po którą tu przyszedłem, zwracam wzrok ku właścicielowi tej rączki. Cholera. To nie bachor. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej. Kobieta uśmiecha się do mnie z wyuczoną niewinnością. Jestem pewien, że wiele w życiu zdobyła tym uśmiechem. Może w innych okolicznościach... Ale nie dzisiaj, królowno. Nie dzisiaj. Bezczelnie obcinam wzrokiem jej sylwetkę i przy okazji zauważam, że w jej zakupowym koszyku już tkwią wafelki. No ile będzie żarła?

Jej białe jak śnieg zęby i nieskazitelna cera świadczą o tym, że dziewczyna nie zмага się teraz z żadnym paskudnym nałogiem, więc nic jej nie będzie, jak odpuści czekoladki. Poza tym pod jasnym płaszczem i wielkim jak koc szalikiem skrywa pewnie kilka zbędnych kilogramów. Wyjdzie jej na dobre, jak je sobie daruje. Te dwa wafelki to i tak już przesada. Ta sikoreczka będzie je dziobała ze dwa tygodnie.

Do moich nozdrzy dociera uzależniający słodki zapach z aromatem cynamonu... Czy to jej perfumy?

Nagle czuję, że kruszynka próbuje przeciągnąć opakowanie na swoją stronę. Myśli, że jest w stanie wygrać ze mną pojedynek siły? Co za waleczne stworzenie! Aż mam ochotę się zaśmiać, ale oczywiście nie robię tego. Po prostu uniemożliwiam jej przesunięcie opakowania. Wypadałoby się odezwać i zakończyć tę

farsę. Odchrząkuję i otwieram usta, ale ona mnie uprzedza. Jej stanowczy ton głosu zupełnie nie pasuje do tej maleńkiej słodczy, którą sobą reprezentuje.



OLIWIA

Dłhwytam je i z oszołomieniem stwierdzam, że spoczywa na nich jakaś ogromna dłoń. Z pewnością nie moja. Bardziej przypomina rękę Hagrida. Jest tak wielka, że przez ułamek sekundy z przerażeniem zastanawiam się, czy to wyrosnięte stworzenie zaraz nie zmiażdży czekoladek! Nie mam wątpliwości, że to mężczyzna. Nie wiem jeszcze, czy młody, czy stary, bo mój wzrok nadal skupia się na opakowaniu, które trzymam. Ale to nie ma znaczenia, ile ma lat. On jest mężczyzną, ja kobietą. Na pewno zachowa się jak dżentelmen. Szybciutko przeprosi, uśmiechnie się miło i puści słodycz. Nie pierwszy, nie ostatni. Pikuś.

Odwracam się do niego z olśniewającym uśmiechem. Muszę podnieść głowę, żeby zobaczyć, z kim mam do czynienia – jaki wysoki! O cholera, młody. Nie wiem czemu, ale zakładałam, że jest starszy. I zdecydowanie nie przypomina Hagrida, a raczej... Goslinga.

Uśmiecham się słodko i czekam, aż zabierze dłoń. Zamiast tego przypatruje mi się bacznie i nie rusza z miejsca. Mierzy



mnie wzrokiem od stóp do głów i pewnie liczy, że tego nie zauważę. Co on sobie myśli?! Powoli tracę cierpliwość. To nieporozumienie powinno trwać najwyżej sekundę, a przeciąga się już do kilku. Nadal z przyklejonym do ust rozbrajającym uśmiechem patrzę w jego duże oczy i dostrzegam niebieskie tęczy. Muszę przyznać, że są ładne.

Ogarnij się – upominam się mentalnie.

Mocniej zaciskam dłoń na opakowaniu i delikatnie ciągnę je w swoją stronę. Widzę, jak drga kącik jego ust, ale robi, co w jego mocy, żeby się nie uśmiechnąć. Nie daje za wygraną i przytrzymuje czekoladki. Oho! Chce coś powiedzieć. Nie, mój drogi.

– Nie tak prędko, Błażejku. – Czytam jego imię na identyfikatorze, który dynda mi przed oczami spod rozpiętego płaszcza. Wygląda na zaskoczonego moją bezpośredniością. – To moje. – Uśmiecham się czarująco. Ale on wcale nie puszcza. Dlaczego on nie puszcza?!



BŁAŻEJ

Przyznaję, że przez moment obawiałem się, że przydarzyła mi się ta, najgorsza z możliwych, sytuacja, kiedy spotykam kogoś, kogo znam, a mój mózg nie chce współpracować i przypomnieć skąd. To było jednak niemożliwe. Zapamiętałbym ten



uśmiech... Potem posądziłem ją o jakiś rodzaj szamaństwa. Podobno szaleni ludzie mają zmysł jasnowidzenia, a ta przede mną to zdecydowanie wariatka. Na szczęście w porę, zanim zrobiłem z siebie idiotę, przypomniałem sobie o wiszącym na mojej szyi identyfikatorze.

– Wybacz... – odzywam się do niej wyuczonym, uwodzicielskim tonem i lekko uśmiecham. – Nie zauważyłem, żeby były podpisane.

Spogląda na mnie zdziwiona, jakbym rzeczywiście nie zauważył wielkiego napisu sugerującego, że czekoladki są jej własnością.

– Jeśli więc nie masz nic przeciwko, pójdę już z nimi do kasy – dodaję i delikatnie ciągnę opakowanie w swoją stronę. Mała jednak absolutnie nie ma zamiaru odpuścić i mocniej zaciska dłoń na folii.

– Tak się składa, że jednak mam coś przeciwko, więc puść już je, proszę, bo to ja właśnie chciałam iść do kasy.

Co za tupet?! Mina mi rzędzie. Przyszedłem tutaj po czekoladki, a nie po to, żeby jeszcze bardziej podnieść sobie ciśnienie. Wzdycham głośno.

– Posłuchaj – podejmuje, starając się zachować w miarę ugodowy ton. – Nie mam na to siły i nie mam na to czasu. To, że ci ich jeszcze nie wyrwałem z ręki, to już akt dżentelmeństwa z mojej strony, więc odpuść po prostu, okej?

Dziewczyna otwiera szeroko usta, a jej brwi podjeżdżają prawie pod linię włosów.

– Chyba nie zamierzasz się tu ze mną siłować? – pyta zdziwiona i, niby pod nosem, ale tak, żebym na pewno słyszał, dodaje: – Ładny mi dżentelmen...

Nie pozwala mi odpowiedzieć, że wcale nie potrzebuję wielkiej siły, by uzyskać pożądaný efekt, i nie będzie to miało nic wspólnego z siłowaniem. Czuję, że zaciska swoją maleńką piastkę jeszcze mocniej na foliowym opakowaniu, i wypala:

– To ty posłuchaj: nie ma takiej opcji, żebym wyszła dzisiaj z tego sklepu bez tych właśnie czekoladek. Więc lepiej daruj je sobie i znajdź po prostu jakieś inne. Jest ich tu całę mnóstwo. Na pewno któreś ci posmakują.

– Z nas dwojga to ty już nawrzucałaś słodkości do koszyka. Nie bądź taka pazerna – odpowiadam niezłe zirytowany. – Te czekoladki są moje. Tylko po nie tutaj przyszedłem i bez nich nie wyjdę!



OLIWIA

Jak on w ogóle śmie...

– No to mamy problem – mówię oschle. To nie jego pieprzony interes, co mam w koszyku! Mogłabym wykupić całę zapas słodczy z tego sklepu i nic mu do tego! Mam ochotę wykrzyczeć to na głos, ale z jakiegoś powodu tego nie robię. Nie wierzę, że tak okropnie się pomyliłam. Po pierwsze z góry



zakładając, że on od razu odpuści, po drugie, że nic nie jest w stanie popsuć mojego dnia. Proszę bardzo, jemu się udało.

Brawo, Błażej...

Jestem już naprawdę wściekła. I nawet jego uroczy uśmiech, dzięki któremu jeszcze bardziej przypomina Ryana, tego nie zmieni!

– Ja mam czas. Poczekam, aż odpuścisz – oznajmiam, zaciskając jeszcze mocniej dłoń na folii i udając, że panuję nad emocjami. – I radzę zrobić to szybko... Za chwilę nic nie zostanie z tych czekoladek, bo roztopią się pod twoją wielką łapą!

– Co ja takiego zrobiłem, że ja na mnie zesłałeś? – Wzdycha, unosząc głowę ku górze. Chyba chce być zabawny, zapomniał tylko, że to nad nami to wielki sufit, a nie niebo...

– Mogłabym spytać o to samo. – Teraz ja wzdycham i odwracam twarz.

Od patrzenia na niego boli mnie już kark. Przez ostatnie minuty wyginam szyję pod kątem jakichś trzydziestu stopni. On ma chyba ze dwa metry!

Odruchowo przykładam drugą dłoń do bolącego miejsca i krótko je rozmasowuję. Biorę głęboki wdech i mówię:

– Dobra, słuchaj, Błażej – mocno akcentuję jego imię – ja serio nie żartuję. Muszę dziś mieć te czekoladki. Zabierz więc z łaski swojej tę rękę, bo naprawdę zaraz się rozplyną. A skoro tak ci na nich zależy, to poszukaj gdzieś indziej – rozglądam się – być może jeszcze gdzieś tu są. A wiesz... kobietom się ustępuje. – Uśmiecham się znów słodko, choć mam ochotę go udusić gołymi



rękami. Ale z kilku powodów nie mogę tego zrobić. Głównie dlatego, że wiązałoby się to z puszczeniem opakowania. Zresztą mogłabym nawet nie dosięgnąć...

– Równouprawnienie. Mówi ci to coś? – odzywa się, a ja mimowolnie ponownie podnoszę na niego wzrok.

Gapi się na mnie tymi dużymi oczami i dalej zaciska swoje wielkie łapsko na folii. Naprawdę zaczynam martwić się o stan czekolady. I o to, że on nie odpuści. Na samą myśl o porażce chce mi się płakać. Przecież to by znaczyło, że...

Nie mogę się rozryczeć na środku sklepu, choć czuję, że lży są blisko. Błazej chyba zauważa mój stan, bo wyraz jego twarzy momentalnie się zmienia.



BŁAZEJ

Dziwy ona ma zamiar płakać? Robi mi się głupio, ale zaraz potem zdaję sobie sprawę z tego, że to pewnie kolejna próba rozmiękczenia mnie.

– Możesz sobie darować te sztuczki? – pytam, przekonany, że coś kombinuje.

Ze łzami w oczach wlepia we mnie mordercze spojrzenie, a jej szczeka zaciska się nerwowo. Jasna dupa! Trafiłem na babę w trakcie PMS. Już otwiera usta, by mi wygarnąć, gdy oboje słyszemy radosny świergot:



– Jak się nie możecie zdecydować, to ja chętnie wezmę te czekoladki.

Nie odrywając od siebie wzroku, jednocześnie obracamy głowy w stronę źródła tego niepokojącego w tej sytuacji dźwięku. Równocześnie kierujemy spojrzenie na kobietę, której uśmiech od razu znika z twarzy. Nie musimy nic mówić. Podnosi dłonie w geście poddania i cofa się o krok, wpadając tyłkiem w wózek wypełniony po brzegi żarciem i... dwójką dzieci, które trąca torebką.

Dzieci zanoszą się płaczem, kobieta szybko odchodzi, marudząc coś pod nosem, młoda matka krzyczy, pozostawiając bez odpowiedzi pytanie: „Co pani najlepszego narobiła?”.

Naprawdę mam już dosyć tego dnia, zaczyna mnie boleć głowa i chcę jak najszybciej stąd wyjść, ale nie mogę odpuścić. Nie mogę wyjść bez czekoladek. Nie teraz, kiedy wyobraźnia podsuwa mi pod nos zapach dymu tytoniowego... Wracam spojrzeniem do mojej małej przeciwniczki.

Wkurzona i zdeterminowana, by osiągnąć swój cel. Szkoda, że nie ma czerwonego płaszcza. Wyglądałaby jak Mała Mi. Wpadam na pewien pomysł. Czuję, że jest niebezpieczny, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Nie chcę tak po prostu wyrwać jej opakowania z rąk. Mogę, ale nie chcę.

– Kupmy je razem – proponuję, a ona marszczy brwi, jakby chciała popukać się w czoło. – Obojgu nam zależy. Podzielimy się. Co ty na to?





Ten koleś chyba oszalał. Nie znam go, a mam się z nim dzielić ulubionymi czekoladkami? Chyba śni. Chociaż... Nie wyobrażam sobie jeszcze długo tak stać. Szczerze mówiąc, jestem zmęczona, jest mi gorąco i strasznie chce mi się siku. A afera z tą kobietą i dziećmi tylko dodatkowo utwierdziła mnie w przekonaniu, że chciałabym już wrócić do domu. Ale bez czekoladek nigdzie się nie ruszam. Więc chyba faktycznie...

Właściwie może to nie jest taki głupi pomysł. Przez ostatnie lata sama zjadałam czekoladki z całego opakowania, ale wcześniej przecież tylko połowę. Jeśli to jedyny sposób, żeby podtrzymać tradycję, chyba nie mam wyjścia i powinnam się zgodzić. On wygląda na równie zawziętego i choć go nie znam, wiem, że ich sobie nie daruje. Bo przecież już dawno mógł je po prostu zabrać i odejść. Ciekawe, dlaczego do tej pory tego nie zrobił.

Patrzy na mnie, oczekując odpowiedzi. Zastanawiam się przez chwilę, czy to nie jakiś podstęp z jego strony. Może nie ma kasy, dlatego chce kupić je na pół, he, he!

– Nie ma szans, że odpuszczysz? – upewniam się, mimo że znam odpowiedź.

Kręci głową, a w oczach ma determinację. Musiałam przy najmniej spróbować.



– Dobra, niech tak będzie – zgadzam się niechętnie, ale tak naprawdę trochę się cieszę, że zaraz zakończymy ten bezsensowny spór.

Czekam, aż zabierze wreszcie tę rękę, ale tego nie robi.

– Puść już. Uzgodniliśmy przecież. Wrzucę je do koszyka i razem pójdziemy do kasy.

Patrzy na mnie nieufnie. Przewracam oczami. Naprawdę nie mam dłużej siły tego ciągnąć. I zaraz się posikam.

– Przecież ci z nim nie ucieknę. Jest za ciężki – mówię. – Właściwie możesz go nieść, jak chcesz.

Trochę to ryzykowne, wiem, ale świecznik, wino i reszta naprawdę sporo ważą. Jest mi to więc nawet na rękę.



BEAŻEJ

Odbieram koszyk z jej rąk i bez słowa kierujemy się w stronę kas. Wciąż mogłaby szybko sięgnąć po czekoladki i uciec, ale mam dziwną pewność, że tego nie zrobi. Chcę ustawić się w kolejce do kas samoobsługowych, ale Mała ciągnie mnie za rękaw i prowadzi nas do krótkiej, jak na te przedświąteczne warunki, kolejki dla ciężarnych. Unoszę brew w niemym pytaniu, a ta tylko wzrusza ramionami z łobuzerskim uśmiechem na ustach. Mogłem się spodziewać, że księżniczka umie sobie w życiu poradzić.



Wykładamy produkty na taśmę w zgodnym, jakby wypracowanym latami rytmie. Gdy z koszyka znikają lodowe czekoladki, spoglądamy na siebie nieufnie, ale oboje z szacunkiem, na który sobie przecież wzajemnie zasłużyliśmy, choć prawdziwa próba dopiero przed nami. Kiedy nadchodzi nasza kolej, Mała piszczy pod nosem coś, czego nie rozumiem, i wybiega ze sklepu, rzucając mi spłoszone spojrzenie. Zostaję sam przy kasie dla ciężarnych. Czy to był jej plan?

Kasjerka śmieje się i przesuwa czekoladki nad czytnikiem.

– Ten ciężowy pęcherz. – Kręci głową rozbawiona. – Pamiętam jak dziś. Dobrze, że pana ma.

– Oj tak, jestem dzisiaj jej wybawieniem... – odpowiadam z uśmiechem.

Jak ostatni frajer pakuję nie swoje zakupy i płacę jakąś niebotyczną kwotę. Zerkam na paragon. Na co jej taki drogi świecznik? Jeszcze gdyby był ładny, ale nie. Co to w ogóle jest? Jakies paskudne krzywe osły? Może to rzeczywiście ciążowe hormony...

Rozglądam się wokół i zauważam, że grupka nastolatków zwalnia właśnie jedną z ustawionych w holu kanap. Pierwszy dotyk szczęścia tego dnia. Siadam, stawiam torbę z zakupami na podłodze, obok ten paskudny świecznik, który się w niej nie mieści, i wyciągam czekoladki. Otwieram opakowanie i układam kolorowe kwadraciki obok siebie w dwóch prawie równych rzędach. Nie muszę tego robić, a jednak czekam. Lepiej, żeby wróciła. Czekoladki chętnie zjem sam, ale na jakie nieszczęście mi ten świecznik?





Nareszcie bierze ten cholerny koszyk. Szczerze wątpiłam, czy to zrobi, bo przecież taki z niego dżentelmen, jak ze mnie śpiewaczka operowa. Zmierzamy do kas i w tym momencie w mojej głowie pojawia się genialny pomysł. Chwytam rękaw jego płaszcza i kieruję się w stronę kas dla ciężarnych. Patrzy na mnie zdziwiony, a ja tylko z uśmiechem wzruszam ramionami i idę dalej. Wygląda, jakbym mu zaimponowała. Co zapewne zmieniłoby się szybko, gdybym nie zdecydowała się na ten krok.

Inaczej po prostu za chwilę się posikam! Nic nie poradzę, że podczas zajęć wypięłam całą butelkę wody. A wcześniej w pracy dwie kawy. Cieszę się, że już za chwilę nasza kolej. Gdy wypakowujemy zawartość koszyka, zauważam, że z pogardą patrzy na świecznik. O co mu, do cholery, chodzi? Przecież jest przepiękny. Ale on nie komentuje. Rzuca mi nieufne spojrzenie, gdy wyjmuję czekoladki. Naprawdę już mógłby sobie odpuścić.

To on miał przewagę. Zresztą... skoro żadne z nas do tej pory z nimi nie uciekło, to chyba możemy już być spokojni. Chociaż ja też nie do końca mu ufam. Ale chyba będę musiała to zrobić szybciej, niż sądziłam, bo zaraz nie wytrzymam. Czuję, że jak w ciągu minuty nie usiądę na kibelku, poczuję na nogach ciepły strumień własnego moczu. Co za dzień! Nie mam wyjścia. Piszczę, że zaraz wracam, i czym prędzej biegnę do łazienki.

Właśnie zostawiłam jakiegoś obcego faceta z moimi zakupami, za które musi teraz zapłacić. Nie chcę wiedzieć, co sobie pomyślał. Właściwie to nieważne. Liczy się tylko to, że opróżniłam pęcherz w miejscu do tego przeznaczonym. Było blisko. Wracam do niego i przez głowę przelatuje mi myśl, że już go nie ma. Zabrał czekoladki i uciekł. Z MOIM ŚWIECZNIKIEM! Rozglądam się i nigdzie go nie widzę. No zwał. Idę dalej i... jest! Tylko dlaczego otworzył opakowanie beze mnie?!



DELAŻEJ

Siedzę na tej pieprzonej kanapie i zastanawiam się, jakim cudem znalazłem się w tej sytuacji. W tym czasie mógłbym zjeść całe opakowanie czekoladek, a ja jak ten pantofel siedzę, pilnuję grzecznie zakupów i czekam na księżniczkę. Nie wiem, czy rzeczywiście miała pełen pęcherz, czy może poszła na dwójkę albo rodzi, bo to trwa w nieskończoność. Nie spodziewałem się, że na koniec tego dnia znajdę w sobie jeszcze takie pokłady cierpliwości.

W końcu ją dostrzegam. Idzie, gwiazda. Nawet szczególnie się nie spieszy. Podchodzi i patrzy na mnie, jakbym to ja zrobił coś nie na miejscu.

– Dowiem się, jak masz na imię? – pytam, bo zaprzęta mi to głowę od kilku minut.



– Oliwia – odpowiada niechętnie.

– Dobrze, Oliwio – mówię, poklepując miejsce na kanapie po drugiej stronie równo ułożonych czekoladek, chcąc ją zachęcić, by usiadła. Gdy to robi, pytam: – Masz mi coś do powiedzenia?

Dziewczyna bacznie przygląda się czekoladkom, sprawdzając zapewne, czy nie zrobiło się ich podejrzenie za mało. Potem unosi dumnie brodę, jakby miało jej to pomóc zachować twarz, i wypala poważnym tonem:

– Byłam przekonana, że zwiąłeś z moimi zakupami.

– Z twoimi zakupami? – Unoszę brew. – Jakimi twoimi zakupami? Masz może jakieś potwierdzenie płatności czy chociaż paragon?

Dziewczyna przewraca oczami zirytowana. Rozbawia mnie to i wybucham śmiechem.

– Po co miałbym zwać z – kreślę w powietrzu cudzysłów – twoimi zakupami? – pytam roześmiany. – Co miałbym niby zrobić z tym... – wskazuję palcem na stojący obok torby świecznik – tym... tym czymś? Co to w ogóle jest? Po co ci to? Jak można tak marnować pieniądze?

Oliwia rozdziawia usta w niemym szoku, a ja kontynuuję:

– Proszę, tu jest paragon. Jeszcze możesz to zwrócić. Najlepiej zrób to od razu, żeby nie targać tego niepotrzebnie do domu.





OLIWIA

Borze szumiący, nie pamiętam, żeby kiedykolwiek ktoś tak mnie irytował! Mam wrażenie, że zaraz wybuchnę.

Nie daj się sprowokować, Oliwka. Bądź ponad to.

Robię głęboki oddech i wstaję. Błażej patrzy na mnie zdziwiony, choć wiem, że ma nadzieję, że po prostu wychodzę. Zamiast tego prostuję się, ściągam płaszcz i szalik. Nie wiem, ile to jeszcze potrwa, ale ten wielki goslingopodobny koleś od kilkunastu minut tak podnosi mi ciśnienie, że zaraz się tu ugotuję.

Odkładam rzeczy obok i gdy siadam, z torebki wyciągam dwa dwustuzłotowe banknoty. Wręczam mu je i bez słowa zabieram paragon.

– Już bez tych czternastu groszy – mruczy pod nosem i także pozbywa się okrycia. Kładzie je na moim płaszczu.

– To za fatygę – burczę, obrzucając go mroźnym spojrzeniem.

Siada blisko mnie. Nawet trochę za blisko. Tak blisko, że bez trudu wyczuwam jego zapach. Muszę przyznać, że podoba mi się, jak pachnie.

Wpatruje się we mnie z głupkowatym uśmieszkiem. Dopiero teraz zauważam dołeczki w policzkach. Cholera, zawsze miałam do nich słabość! Unoszę brwi, zastanawiając się, o co mu właściwie chodzi. Po raz pierwszy czuję się nieco speszona jego bliskością. Zerkam na jego identyfikator, ale poza imieniem



niczego więcej na nim nie ma. Zastanawiam się, czym się zajmuję. Ubrany jest normalnie – biały sweter i džinsy.

Wracam spojrzeniem do jego oczu, zanim zacznę się świadomie zastanawiać, czy bez swetra również przypomina Goslinga. Odchrząkuję i poprawiam się na kanapie, by doprowadzić do porządku podświadomość, i wreszcie pytam:

– Możemy już skończyć ten cyrk, podzielić się czekoladkami – obrzucam je spojrzeniem, by się upewnić, że nadal jest ich tyle, ile powinno – i rozejść do domu? Robi się późno. Naprawdę jestem zmęczona.



BŁAŻEJ

Wyraźnie zmęczona odgarnia włosy z czoła i muszę przyznać, że przesadziłem. Nie ma takich strasznie małych rączek... To znaczy, są mniejsze niż moje, wiadomo. Zgrabne, delikatne, ale nie dziecięce. Zdecydowanie nie jest też w ciąży, przynajmniej nie w zaawansowanej. Pod płaszczem i tym wielkim szalem krył się obcisły, wsunięty w spodnie golf. Te dwa wafelki nie zrobią jej krzywdy. Czekoladki też nie. Czuję, że jej nieswojo pod moim spojrzeniem, ale nie mogę przestać ani powstrzymać uśmiechu.

Sięgam po jedną z czekoladek, tych w rzędzie bliżej mnie, rozwijam ją powoli i dopiero postanawiam odpowiedzieć na pytanie:



– Przecież już je podzieliłem. Miałem na to dużo czasu, czekając tu na ciebie. Możesz śmiało wziąć swoją część. – Po czym wrzucam lodowy rarytas do ust.

Przymykam oczy... O tak, tego mi było trzeba. Znów na nią patrzę i widzę, że mi się przygląda, ale jakoś inaczej niż do tej pory. A może sobie to tylko wymyślam.

Po chwili Oliwia kręci głową, jakby nie wierzyła samej sobie, i łapie jedną ze swoich czekoladek. Odwija ją powoli, jakby z namaszczeniem.

– Nie bój się. Nie roztopiłem ich swoją wielką łapą – drażnię się.

Nie patrzy na mnie, ale widzę, że ten komentarz lekko ją rozbawił. Wrzuca czekoladkę do ust i, tak samo jak ja przed chwilą, przymyka na chwilę oczy, by rozkoszować się tym wspaniałym doznaniem.

Cały czas się w nią wpatruję. Zauważam kolczyki w kształcie podków i dociera do mnie, że to na tym świeczniku to są konie! Mała chyba jest pasjonatką jeździectwa, czy jak to się tam nazywa... Ale nie chyba, a już na pewno stwierdzam, że jest śliczna. Nie mogę się tak gapić jak zwyrol. Sięgam po kolejną czekoladkę, tym razem z jej rzędu, by sprawdzić reakcję, która jest szybka – od razu dostaję po łapach. Śmieję się i pytam:

– To dlaczego tak ci zależało? Dlaczego musiałem się dzielić?



OLIWIA

Gdzie mi z tymi łapami! Dobra, przyznaję już, że poza tym, że jest wielki, przystojny i irytujący, to też całkiem zabawny. Czuję, że napięta atmosfera między nami powoli się rozluźnia. Gryzę drugą czekoladkę i rozkoszuję się jej nieziemskim smakiem, zanim odpowiem na pytanie. Zastanawiam się przez moment, czy gdybym od tego zaczęła i od razu powiedziała mu, dlaczego to dla mnie tak ważne, odpuściłby szybko, przez co inaczej potoczyłoby się nasze spotkanie.

Z jakiegoś powodu z niepokojem stwierdzam, że wcale bym tego nie chciała. Biorę kolejną, tym razem różową, kosteczkę i zaczynam się nią bawić, na razie jej nie rozpakowując.

– Te czekoladki to moja wieloletnia tradycja – mówię wreszcie, skupiając wzrok na kolorowym papierku.

Błażej przygląda mi się z uwagą. Nie uśmiecha się już, ale wyraz jego twarzy pozostaje pogodny. Ja też poważnieję.

– Wiele lat temu, gdy byłam dzieckiem, pierwszego grudnia moja mama zabrała mnie do kina. Ale zanim tam poszłyśmy, wpadłyśmy do sklepu po jakieś przekąski. Kupiła czekoladki lodowe. Potem jadłyśmy je razem podczas seansu – opowiadam z nostalgią w głosie. – Rok później znów je kupiła i rozkoszowałyśmy się nimi podczas pieczenia pierników. Obu nam się to tak spodobało, że wprowadziłyśmy nową tradycję. Co roku tego



dnia kupowałyśmy właśnie te czekoladki i spożywałyśmy razem w przeróżnych okolicznościach.

Uśmiecham się na te wspomnienia.

– Pięć lat temu mama zmarła, ale ja i tak kontynuuję ten zwyczaj. Choć nieraz trudno je zdobyć – kończę i przenoszę na niego wzrok.

Wygląda na nieco zszokowanego. Ale przecież sam pytał... Odwijam czekoladkę z papierka i odgryzam mały kawałek. Błażej siedzi bez ruchu i przygląda mi się bez słowa.

– A ty? – pytam wreszcie. – Dlaczego tak bardzo o nie walczyłeś?



BŁAŻEJ

G ratuluję sobie w myślach, że nie wyrwałem jej tych czekoladek siłą i wpadłem na pomysł, by się nimi podzielić. Taki dobry uczynek, którego sam po sobie bym się nie spodziewał... I to w taki podły dzień.

– Przykro mi z powodu twojej mamy – mówię, bo wydaje mi się, że powinienem.

Poza tym naprawdę mi przykro. Nie powinno się tracić kochających rodziców w tak młodym wieku.

– Przynajmniej zdążyła cię nauczyć walczyć o swoje – zauważam półzartem.



Oliwia śmieje się z tego komentarza. Chyba pierwszy raz zaśmiała się w moim towarzystwie. Spodobał mi się ten dźwięk, mógłbym go słuchać dłużej, ale Mała szybko się uspokaja. W tym samym momencie sięgamy po kolejne czekoladki. Spoglądamy na siebie, a ona wtedy skinieniem głowy upomina się o odpowiedź na swoje pytanie. Wzdycham.

– Lodowe czekoladki pomagają mi, gdy... nie jest dobrze – odpowiadam wymijająco.

Gwiazda unosi brew, dając mi znać, że to jej nie zadowala.

– Dobrze. – Daję za wygraną. – Nienawidzę tej całej świątecznej gorączki.

Teraz patrzy na mnie, jakbym, no cóż, urwał się z choinki.

– Nie mam nic do samych świąt – zastrzegam. – Ale zobacz, co tu się dzieje. Ludzie wariują, jedni robią zapasy jedzenia, drudzy sztuczny tłum. Wykupują czekoladki i prawdziwie potrzebujący muszą walczyć o ostatnie opakowanie!

Rozbawiam ją tym.

– Jeszcze inni wydają fortunę na jakieś dziwne przedmioty...

Trącam lekko butem jej świecznik, a ta urażona uderza mnie w ramię. Śmieję się.

– W pracy mam to samo, co tutaj – kontynuuję – tylko gorzej. A do tego trzy tygodnie temu postanowiłem, że palę właśnie ostatniego papierosa. Nie spodziewałem się, że rzucanie będzie takie trudne. W każdym razie pomyślałem, że jak jej nie zjem – wrzucam kolejną czekoladkę do ust – to skończę dzisiaj z pachnącą nowością paczką fajek. Taka jest moja historia.



OLIWIA

Ta! Wiedziałam, że coś jest z nim nie tak. Fajki! Ble. Dobrze, że rzucił. Lub próbuje rzucić. Właściwie to cieszę się, że jemu też udało się dorwać do czekoladek. W przeciwnym razie prawdopodobnie stałby gdzieś teraz z papierosem w ustach. Nie wiem, jak długo męczy się z tym nałogiem, ale nie widzę u niego oznak palacza. Nie zauważyłam, żeby miał żółte zęby. Przypatruję się teraz jego pełnym ustom, co bez trudu dostrzegam.

Szczerzy się w uśmiechu, jakby dokładnie wiedział, o czym myślę.

– Okej. Jesteś usprawiedliwiony – mówię, a on patrzy na mnie jak na kosmitkę.

Chyba niezbyt zależało mu na moim błogosławieństwie. Po prostu chciał zjeść czekoladki. Nie rozumiem, o co mu chodzi z tymi świętami. Nie dość, że wokół jest tak pięknie, to ludzie właśnie w tym okresie tak bardzo się starają. Przecież ta gonitwa jest po coś. Zazwyczaj po to, by sprawić radość innym.

Mogłabym to z nim przedyskutować, ale odpuszczam. Nie mam już sił na słowne przepychanki. Zamiast tego pytam:

- To czym się zajmujesz?
- Teraz to głównie przetrwaniem – żartuje.

Co za tajemniczy gość. Przewracam oczami i zastanawiam się, czy mam do czynienia z tym typem faceta, który za wiele



o sobie nie mówi. Wprawdzie przyznał, po co były mu te czekoladki, ale... Niech nie mówi, jak nie chce. Nie mam zamiaru nic z niego wyciągać. Już to kiedyś przerabiałam...

– Spoko, wcale nie muszę tego wiedzieć. Właściwie nic nie muszę o tobie wiedzieć – stwierdzam i zdaję sobie sprawę, że mówię to obrażonym tonem. Wcale tego nie planowałam. W sumie mogłam się po nim spodziewać takiej odpowiedzi. Przecież znam go już od jakichś dwudziestu minut. Kupa czasu. Sięgam po czekoladkę i odwracam twarz od Błażeja, bo z jakiegoś powodu głupio mi, że to powiedziałam i to jeszcze TAK.



BŁAŻEJ

mieję się. Nie umiem się powstrzymać. Wariatka się obraziła, że nie dzielę się z nią informacjami na swój temat.

– Fakt, nie musisz nic o mnie wiedzieć, a jednak podzieliłem się z tobą... – przez chwilę zastanawiam się, jak to ująć – całkiem intymnym wyznaniem.

Cofa ostentacyjnie głowę, unosząc jednocześnie brew w zdziwieniu. Dobra, ma prawo nie rozumieć, o co mi chodzi. Wyrażnie czeka, aż rozwinę temat.

– To był naprawdę słaby dzień – zaczynam. – Mam wrażenie, że ludzie zmówili się, by sprawdzić, ile trzeba zrobić, żebym wybuchł. I musisz wiedzieć, że znajdowałaś się najbliżej – mówię,



patrząc jej w oczy, a ona parska cicho. – Ten pieprzony identyfikator – kontynuuję – mam ze szkolenia z *work life balance*, w którym uczestniczyłem... po godzinach. Bo wiesz, nieobowiązkowe, ale „dobrze by wyglądało, gdybyś się pojawił”.

Oliwia chichocze, a ja kontynuuję:

– Nie pochwaliłem się w pracy, że rzucam palenie. Może gdybym to zrobił, to mieliby trochę więcej wyrozumiałości dla człowieka... I naprawdę nikomu do tej pory nie powiedziałem, że balansuję na granicy wytrzymałości. Zawsze dobra mina do złej gry. Dlatego zamiast się obrażać, powinnaś być raczej zaszczycona, że obdarzyłem cię tak wyjątkowym zaufaniem – mówiąc to, uśmiecham się zawadiacko. – Nie ukrywam, że liczę teraz na to, że się odwdzięczysz i dowiem się o tobie czegoś... również intymnego – dodaje, puszczając jej oczko. No nie mogę się powstrzymać.

Oliwia, której twarz opromienia teraz piękny uśmiech, sięga po czekoladkę. Wybiera tę z mojego rzędu. Obserwuję, jak odwija papieraek wolnym ruchem, a gdy już ma zamiar wpakować jego zawartość do ust, zabieram jej ją i wrzucam do swoich.

– Nie oszukuj, Mała. A teraz słucham. Czego się o tobie dowiem?



Czy on właśnie powiedział do mnie „Mała”?

– Ty tak na poważnie? – Mierzę go wzrokiem z ironicznym uśmiechem na ustach. – Przypominam, że chwilę temu biegłam się wysikać. Chyba trudniej o bardziej intymne „wyznanie” po paru minutach znajomości.

Oboje się śmiejemy. Gdy się uspokajamy, mówię:

– Widzisz, ja z kolei miałam dziś naprawdę fantastyczny dzień. Najpierw dziewczyny z zespołu zaproponowały mi wspólne wyjście do teatru, a że dawno tam nie byłam, to pójdę z wielką chęcią. Potem dostałam niemałą premię, choć bardziej niż to cieszy mnie fakt, że moja praca została doceniona po dość krótkim czasie. Później z kolei poszłam z koleżankami na zajęcia taneczne. I to jeszcze bardziej mnie naładowało pozytywną energią. Przez cały dzień miałam więc naprawdę dobry humor i szczerze sądziłam, że nic nie jest w stanie mi go zepsuć.

Uśmiecham się słodko.

– Więc udało ci się dziś osiągnąć naprawdę sporo. Możesz sobie pogratulować.

Błężej patrzy na mnie w taki sposób, jakby moje słowa sprawiły mu satysfakcję. Znów się tak ładnie uśmiecha. Zaraz potem tajemniczo stwierdza, że to miłe uczucie – osiągnąć nieosiągalne.



Mrużę oczy z udawaną złością i gdy się tak w niego wpatruję, zauważam, że w kąciu ust delikatnie ubrudził się czekoladą. Przez ułamek sekundy mam ochotę po prostu mu ją zetrzeć, ale się powstrzymuję. Zastanawiam się, czy powinnam go o tym poinformować...

Łapię kolejną czekoladkę, powoli ją odpakowuję i dopiero teraz uświadamiam sobie, że wcale nie leżą równo i... jest ich przecież nieparzysta liczba! Zapomniałam o tym!

– Błazej... – mówię śmiertelnie poważnie, a on patrzy na mnie zdziwiony moją nagłą zmianą nastroju.

Pyta, co się stało, a ja odpowiadam niemal histerycznie:

– Nieparzyście!

Przygląda mi się z osłupieniem.

– Nieparzysta liczba czekoladek – tłumaczę już spokojniej. – Jak to rozwiążemy?



BŁAŻEJ

Wiedziałem o tym, że jest nieparzysta liczba czekoladek, bo przecież sam je rozpakowałem, ale jej reakcja rozkłada mnie na łopatki. Oliwia wygląda na przerażoną, jakby działa się prawdziwa tragedia. Strasznie mnie to rozbawia. Śmieję się tak mocno, że aż odchylam głowę do tyłu. Wtedy dostrzegam, że siedzimy pod zawieszoną nad kanapą jemiolą. Jakie to



kiczowate... A jednak uruchamia w mojej głowie pokaz slajdów z niechcianych obrazów.

Kręcę głową, wciąż rozbawiony, próbując się uspokoić. Mina Małej po moim ataku śmiechu pogodnieje, chyba nie jest już taka przerażona.

– Myślę, że jakoś sobie poradzimy z tym nieszczęściem – uspokajam ją.

Niech jej jednak nie zwiedzie moja radość. Nie zamierzam jej ot tak oddać tej czekoladki. Miało być po pół. Sięgam po ostatnie moje zawiniątko, a pomiędzy nami pozostaje tylko jeden niebieski rarytasik.

Zjadam powoli lodową czekoladkę, ciesząc się jej słodyczą. Oliwia wpatruje się we mnie w ciszy, wyczekując propozycji rozwiązania impasu. Chyba zdaje sobie sprawę, że nie odpuszczę. Nie po tym, jak nie mogła kupić całego opakowania sama i wrócić z nim spokojnie do domu. Moje oczy ześlizgują się na jej usta. Pełne i lśniące. Wyobrażam sobie, że są teraz tak samo słodkie, jak nasz wspólny deser.

Po chwili spoglądam w górę, znacząco, tak by zwrócić jej uwagę na to, co sam przed momentem zauważyłem. Działa. Oliwia zerka ponad nasze głowy, a gdy dostrzega jemiołę, jej policzki oblewa delikatny rumieniec. Wciąż nie odzywam się, niczego nie sugeruję, przynajmniej nie werbalnie, o nic nie pytam. Po prostu, wiedziony niespodziewanym impulsem, wpatruję się w jej oczy i czekam na nieme przyzwolenie.





OLIWIA

A więc to tak?! Muszę przyznać, że naprawdę całkiem nieźle to sobie wymyślił. Niby tak nie lubi świątecznej otoczki, a wybrał miejsce dokładnie pod jemiolą. Nie wierzę, że to był przypadek. Takie rzeczy dzieją się tylko w filmach. Po mojej reakcji pewnie sądzi, że stchórzę. Ale nie. Nie dam mu tej satysfakcji. Chce grać w tę grę? Proszę bardzo. Spoglądałam kolejno na czekoladkę, jego usta i jemiolę. Szybko zastanawiam się, jak najlepiej to rozegrać.

Mam!

Powoli bez słowa biorę ostatnią czekoladkę i niespiesznie odwijam ją z papierka. Umyślnie przeciągam tę chwilę. Błżej czeka na mój ruch. Pewnie zastanawia się, czy się z nim podzielę, czy spróbuję zjeść sama. Unoszę smakołyk na wysokość mojej twarzy i zmysłowo patrzę w oczy chłopaka. Zbliżam ją delikatnie w swoją stronę, a on prawie podrywa się z miejsca, by nie pozwolić mi wsunąć jej do buzi. Ja jednak wcale nie mam zamiaru tak zrobić.

Zamiast tego zatrzymuję go drugą dłonią, którą kładę na jego ramieniu, nakazując, by wrócił do poprzedniej pozycji. Robi to, choć bardzo niepewnie. Przysuwam powoli kciuk do jego ust i wycieram z ich kącika czekoladę. Nie spodziewał się tego. Zanim jakkolwiek reaguje, wkładam do swoich ust ostatnią kostkę i przytrzymuję ją zębami tak, że połowa zostaje na zewnątrz.



Uśmiecham się delikatnie i teraz ja czekam, zapraszając go do zabawy. Jestem bardzo ciekawa, czy się odważy, czy tylko próbował mnie podpuścić.

Widzę, jak nagle błyszczą jego oczy, choć może to jedynie odbicie migających światełek zza szklanych sklepowych witryn. Jednak wszystko wskazuje na to, że Błażej planuje skorzystać z zaproszenia. Zamierza zagrać w tę grę. Uśmiecha się promiennie, przysuwa w moją stronę i powoli nade mną nachyla. Moje serce bije jak szalone. Patrzymy sobie przez chwilę w oczy, a zaraz po tym chłopak odgryza wystający kawałek czekoladki i wyjątkowo subtelnie muska swoimi miękkimi wargami moje usta.



BŁAŻEJ

Nie spodziewałem się tego po niej, ale nie zamierzam o tym wspominać. Zamiast tego po prostu sięgam po swoją połowę ostatniej lodowej czekoladki. Odgryzam delikatnie kawałek słodczy, subtelnie muskając przy tym jej wargi swoimi. Nie odsuwam się jednak od Oliwii, która również w bezruchu czeka na mój kolejny ruch.

Całuję ją, tym razem mocno zaciskając swoje usta na jej zmysłowych wargach. Nie pozostaje mi dłużna i odwziewa się tym samym.



Dopiero wtedy lekko się od niej odsuwam. Uśmiechamy się do siebie odurzeni tym wyjątkowym doznaniem. Po chwili Oliwia wstaje, zakłada płaszcz, bierze do ręki torebkę, a do drugiej zakupy. Ostatni raz się do mnie uśmiecha i odchodzi. Nie zatrzymuję jej. Odprowadzam ją wzrokiem. Ruszam się dopiero, gdy znika mi z pola widzenia i uderzam w coś butem.

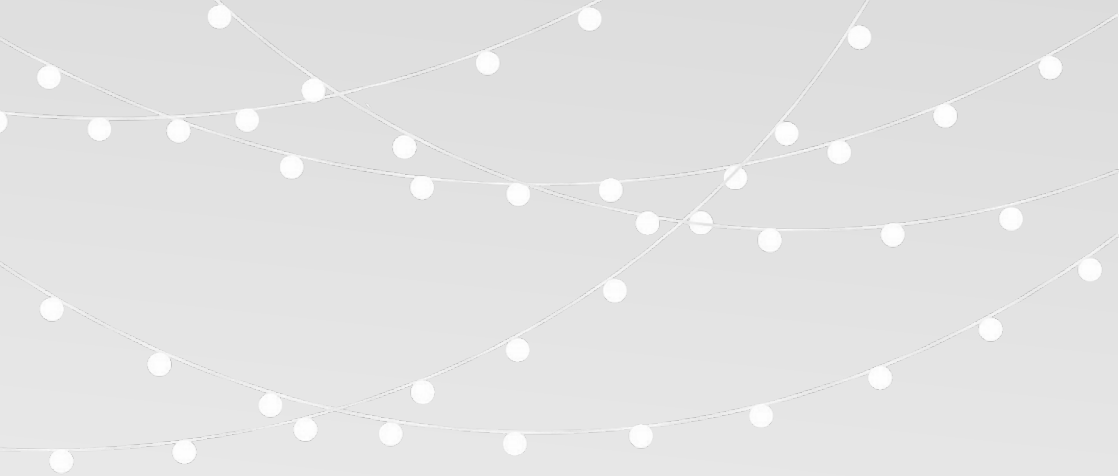
Świecznik. Zostawiła ten pieprzony świecznik i zabrała paragon, żebym nie mógł go nawet zwrócić...



OLIWIA

Mmm... To jest nieziemsko przyjemne i tak cholernie zmysłowe, że moje wnętrznosci dosłownie wywijają fikołka. Czuję się jak podczas pierwszego pocałunku, a przecież trochę już ich w życiu miałam. Oddaję mu tego buziaka z wielką radością.

Gdy się ode mnie odkleja, wygląda, jakby jemu też się podobało to, w jaki sposób podzieliliśmy się ostatnią czekoladką. Z uśmiechem zjadam swoją część, schylam się po płaszcz, torebkę i torbę z zakupami i nie żegnając się z nim, po prostu odchodzę. On wcale nie próbuje mnie zatrzymać. Ale to dobrze. Wychodzę na ulicę i dochodzę do przystanku. Gdy wsiałam do tramwaju, orientuję się, że ciągle się uśmiecham. Po przejechaniu kilku metrów skupiam wzrok na reklamówce. O cholera... Gdzie mój świecznik?!



Poznaj nasze inne wspólne powieści



Jedno przypadkowe spotkanie
w centrum handlowym, które miało się nie powtórzyć.

Jedno opakowanie czekoladek,
którymi postanowili się podzielić.

Jeden słodki całus,
który miał pozostać tylko przyjemnym wspomnieniem.

Poznaj historię Oliwii i Błażeja, którzy w ramach grudniowej
magii świąt dostają szansę na zasłużony uśmiech od losu.

Czy ją wykorzystają?

Czy gwiazdkowy klimat wystarczy,
by z przypadkowej znajomości zrodziło się prawdziwe uczucie?



Cena: 47,99 zł

ISBN 978-83-975933-3-6



Wydawnictwo Od Siedmiu Bolesci